

Sahib żegna się z nami. Podaje rękę Pawłowi, Krzyśkowi i mnie. Podaje też rękę Ani, ale nie patrzy na nią. Ania odmawia podania mu ręki, bo człowiek kulturalny patrzy na osobę, z którą wita się bądź żegna. Tak to jest przyjęte w naszym kręgu kulturowym, ale nie w Maroku. Tu kobieta jest towarem i to drugiej kategorii.

Na uwagę Ani Sahib reaguje nerwowo. Twierdzi, że podaje jej rękę w nadziei, że jest czysta. Potem rzuca już tylko mięsem. Mam ochotę połamać mu nos. Kultura kulturą, a zwykle chamstwo chamstwem. Jednak czy wypada mi bić 14 - latka?

Jesteśmy w symbolicznym centrum Maroka, w medynie królewskiego miasta Fez. Natomiast Sahib był naszym przewodnikiem po najbardziej skomplikowanej mili kwadratowej świata. W labiryncie wąskich uliczek są sklepy pełne dywanów, warsztaty kowalskie, farbiarnie skór, przepowiadacze przyszłości, żebrzące dzieci, bezzębne kobry, okropny bród. Tu można kupić wszystko: od ogórków i hariry - ważywnej zupy, po tagiję - berberyjską czapeczkę i maść na brodawki. Podobno rząd marokański cieszy się z każdego pożaru mediny, bo wtedy ginie wylęgarnia wszelkiego dziadostwa. Ginie wtedy też część arabskiej kultury, to, co przyciąga turystów i pieniądze. Sami Arabowie są rozproszeni między Berberami, Nomadami, Tuaregami - rdzennymi mieszkańcami tej ziemi. Natomiast baranina spożywana od małego, w dużych ilościach szkodzi im na żołądek. Jadąc serpentynami z Tinerhir przez Warzazat do Marrakeszu wszyscy wymiotowali. Jednej pani nawet szczeka wypadła na podłogę. Próbowaliśmy powstrzymać się od śmiechu, ale na próbach się skończyło. Zrozumieliśmy też dlaczego patrzono na nas z takim zdziwieniem, kiedy zaraz po zajęciu miejsc w autobusie przystąpiliśmy do konsumpcji śniadania. A kobiety? Na ulicach prawie ich nie widać. Poruszają się grupami lub w towarzystwie mężczyzn. W długich dżalabach, zasłonięte po kostki. Na głowie obowiązkowo chusta, twarz przesłonięta, ale nie zawsze. W dużych miastach, jak Marrakesz czy Casablanca, panuje większa swoboda, a stroje europejskie są na porządku dziennym. Natomiast na prowincji nie ma odstępstw od tradycji. Szczytem osiągnięć Marokanki jest zajęcie miejsca w autobusie obok białego. Pod żadnym pozorem kobieta nie zaczepia pierwsza mężczyzn. Jej królestwem jest dom. Zawody, które w naszej kulturze uchodzą za kobiece są zdominowane przez mężczyzn. Krawcowa, sprzedawczyni, telefonistka, to w Maroku faceci ! O bankowcach czy prawnikach w spudnicy nie ma co marzyć. Natomiast widok dwóch policjantek w Marrakeszu wprost rzucił nas na kolana.

Ciężkie życie mają takie kobiety, jak Berberyjka - Zahara, mieszkanka Asani, u wrót Atlasu Wysokiego. Zaproponowała nam nocleg, gdy wracaliśmy ze szczytu Jebel Toubkal, najwyższej góry Maroka, głównego celu naszej wyprawy. Przyjąłem jej propozycję, bo chciałem zobaczyć jak taki dom wygląda. Poza tym jego właścicielka pachniała perfumami, co tam jest rzadkością. Tuż za progiem Zahara pośpiesznie zdejmuje białą, połyskującą dżalabę, zrywa z głowy chustę. Ktoś przynosi gazową lampę. Teraz ją widzę. Ma czarne włosy, mocno pomalowane na czarno oczy, dłonie pokrywa misterny tatuaż, wskazujący na jej pozycję społeczną.

Cieszy się, wie, że dobrze zapłacimy za gościnę. Przez chwilę czuję się jak talibski opozycjonista. Chata z gliny, kryta strzechą, bez prądu, bez gazu. Do izby wpada gromada ludzi, na betonową posadzkę ścielą dywany. Zasiadamy po turecku, pijemy berber whisky, czyli herbatę z zielonej mięty z potężną ilością cukru. Rozmawiamy, jemy tadżinę, to znaczy gotowane warzywa z mięsem. Udajemy się do miejscowego hammamu - łaźni. Ania nie może skorzystać, bo wieczorem kąpieli zażywają tylko mężczyźni. Wychodzimy lekko niedomyci, ponieważ nikt z miejscowych nie zdejmuje majtek, to i nam nie wypada. Powiadają, że w łaźni matki podejmują decyzje, co do ożenek swoich synów, dlatego, że można dokładnie przyjrzeć się kandydatkom.

Potem domownicy tańczą i śpiewają dla nas. Ze wszystkich sił bronimy się przed wzięciem za żonę córki Zahary, która ma już 20 lat. To w Maroku dużo. Ale na żonę nie każdego stać. Na ulicy często można zobaczyć trzymających się za ręce młodzieńców. Arabowie są dla przyjaciół wylewni, więc po części wynika to z kultury. Odnoszę jednak wrażenie, że nie tylko o gesty przyjaźni tu chodzi...

Noc spędzam inhalując się kocimi siuškami, ale co tam, mogłem trafić gorzej...

Rano płacę "rachunek". Podobno pieniądze wynaleźli Fenicjanie, ale w Maroku odnosiłem wrażenie, że to jakaś historyczna pomyłka. Oczywiście Zahara próbuje mnie naciągnąć. Przymykam na to oko. Łatwiej jest zapłacić jej i dzieciom, niż naciągaczowi na ulicy. A w Maroku naciągają wszyscy. To taki narodowy sport, w którym każdy turysta musi wziąć udział. Biali nie są w tym najlepsi, dlatego mają opinię głupców i rozprutych worów z dolarami. Rekord pobiła ładna, dobrze ubrana dziewczyna, którą spotkałem na campie w Agadirze. Poprosiła mnie o 20 dirhamów (8 zł), bo nie miała na taksówkę. Jak się nie ma kasy, to trzeba iść do Białasa. On jest taki głupi, że ci da. Takie myślenie oni wysysają z mlekiem matki. Kiedy nie dajesz się naciągaczowi zrobić w balona, to ten z reguły rozkłada ręce i szuka kolejnego jelenia. Były jednak przypadki, kiedy naganiacz modlił się do Allaha o katastrofę naszego samolotu albo rzucał na nas klątwy we wszystkich językach świata. Po takich doświadczeniach ma się mieszane uczucia. Kraj jest piękny, przez dwa tygodnie karmiliśmy swoje zmysły egzotyką Afryki. Natomiast ludzie są nieprzystępni. Dzieli nas religia, ponieważ dla nich jesteśmy niewierni, obyczaj, nawet kalendarz, bo w Maroku jest 1423 rok !

Ostatniego dnia zaczepiła nas dziewczynka, o imieniu Hasna. Powiedziała, że cieszy się z naszej obecności i że chce korespondować przy pomocy internetu. Nie chciała nas stuknąć na kasę, ani nie chciała zaprowadzić nas do kolejnego sklepu z dywanami. Wbrew temu, co mówiła, nie miała 20 lat, tylko 14 - 16, to jej szczery uśmiech, bezpośredniość i znajomość angielskiego obudziły we mnie nadzieję, że Maroko zmieni się za jakiś czas. A za jaki, to zobaczymy.

Wyprawa Maroko 2002 w liczbach

1,5 miliona ludzi mieszka w największym mieście Maroka - Casablance.

10 500 złotych - kosztowało zorganizowanie wyprawy dla pięciu osób, na dwa tygodnie.

4167 m.n.p.m.- mierzy sobie Jebel Toubkal, najwyższa góra Atlasu Wysokiego.

3005 m.n.p.m. - na tej wysokości spotkaliśmy pierwszy śnieg na czarnym łądzie.

2500 km - przebyliśmy w poszukiwaniu przygód drogami Maroka.

150 kg pomarańczy zużywa wyciskacz soku na głównym placu marrakeskiej medyny.

70 dirhamów, czyli 27 złotych, kosztuje butelka 0,4 l alkoholu.

40 °C to przeciętna temperatura marokańskiej wiosny.

30 dni więzienia to kara, jaka czeka obywatela Maroka za publiczne picie alkoholu.

4 żony można mieć w Maroku.

3,25 \$ to przeciętny dzienny zarobek Marokańczyka.

2 szwy założono Pawłowi po locie, podczas wspinaczki na drodze "Moja przyjaciółka", na 300 m ścianie w wąwozie Todra.

0 - tyle Marokanek zdołaliśmy poderwać, niestety

W wyprawie Polskiego Klubu Alpejskiego wzięli udział: Anna Migo -Tychy, Jacek Podsiadło - Czarny Dunajec, Krzysztof Kostrzewa - Gdańsk, Paweł Kajzerek - Żory, Bogusław Magrel - Ząbkowice Śląskie, kierownik wyprawy.

Wyprawa odbyła się w dniach 17.04 - 01.05.2002 r.

Bogusław Magrel